

W drodze do Iquasu

Autor tekstu: **Witold Stanisław Michałowski**

Czerwony, laterytowy pył snuł się warkoczem za klimatyzowanym autokarem Towarzystwa ANDORINHA. Szwedzcy projektanci wersji Marco Polo III przewidzieli nie tylko „lotnicze”, rozkładane fotele, wbudowane w ściany termosy z gorącą kawą, miękkie, pomarańczowe poduszki i takiego też koloru pokrycie podgłówek, ale również kabinę sanitarną z nierdzewnej blachy, wyposażoną w czyste płócienne ręczniki, zestaw wód toaletowych i mydeł oraz splekiwany pedałem sedes. Komfort, szyk, elegancja, wygoda i luksus.

Po obu stronach szerokiej, rozłożystej, zupełnie nieźle wyrównanej i ubitej (po polsku można powiedzieć polnej, a tu raczej dżunglowej) drogi czyhał bujny, nieprzenikniony i zwarty, zielony żywioł. Przygotowany do ataku i atakujący bez przerwy to co wysiłek ludzi i praca maszyn dokonała,

Już po kilkunastu kilometrach za Corumbe asfalt się skończył. Co jakiś czas na wyrwanych dżungli pastwiskach dostrzec można było jeszcze stada bydła, zabudowania i niewielkie pola uprawne. Wsiąkły, wtopiły się w dżunglę, utonęły w niej tak jakoś zupełnie naturalnie, jak gdyby w ogóle ich nie było. Królowała już tylko Ona. Parująca wilgocią, upałem, nieprzeliczonym mrowiem owadzych istnień — dżungla. Za łańcuchem niewysokich wzgórz rzeka Paragwaj. Czekoladowa, ogromna niosąca pęki traw, gałęzie, konary drzew, sterczące drapieżnymi zygzakami pnie.

Motorowy prom długo i z wysiłkiem walczył z prądem. Kluczył pomiędzy mieliznami. Nareszcie dobił do prymitywnej, rozmytej przez ostatnią powódź przystani. Czekala tam grupka pojazdów. Ich właściciele i pasażerowie skryli się przed upałem pod dachem ni, to szopy ni to hangaru, obwieszonych reklamami coca coli będącej jednocześnie poczekalnią, piwiarnią i rybodajnią. Świeżego produktu dostarczali na oczach konsumentów smukli, czarnoskórzy chłopcy, łowiący z prowizorycznych pomostów na przynętę z restauracyjnych odpadów. Nadażali z zaopatrzeniem bez problemu. Gorące, parzące ociekającym tłuszczem, polane jakimś niezwykle pikantnym sosem piranie i ich bliższe lub dalsze kuzynki, smakowały znakomicie. Zimne, w oszronionych butelkach piwo Brahma, jeszcze bardziej.

Za przeprawą droga prowadziła groblą. Prosta jak strzełi. Giniącą gdzieś daleko, hen za kresem horyzontu. Pora deszczowa jeszcze trwała. Parana rozlewała się szeroko, szybko, zachłannie. Ustępowała powoli, leniwie, pozostawiając niezliczoną ilość płytkich, grząskich małych jezior, stawów, kałuż. Królestwo wodnego ptactwa, raj długonogich, długodziobych i cierpliwych. Pstra, oszałamiająca różnorodnością ornitologiczna rewia. Gigantyczne ptasie ZOO pod otwartym niebem. Gdy pozostaje poza nami, z niechęcią odwracamy oczy od skłębionego kożucha dżungli Wielkiego Lasu — Mato Grosso. Mijają długie monotonne kwadransy, godziny. Za miasteczkiem Miranda wypadamy na asfalt. Marko Polo połyka przestrzeń, ściga się z chmurami. Dawno już przekroczył wszelkie dozwolone szybkości.

Siedzący za kierownicą senior Bohdan — trzydziestoparoletni blondyn w służbowej, pomarańczowej, idealnie odprasowanej koszulce — spieszy się. W najbliższym mieście mieszka jego Kseńka i dzieci. Rozmawiamy po ukraińsku, choć on jeszcze nigdy w Europie nie był. Rodzicom udało się po zakończeniu wojny uciec do Brazylii. Z kolegów pułkowych jego ojca, oficera SS HAŁYCZYNA, których zachodni alianci wydali Stalinowi, nikt żywy nie ostał. Jako kierowca, zarabia wystarczająco na utrzymanie żony i czworga dzieci. Uśmiechając się szelmowsko dodaje, że jeszcze ma na coca colę dla takiej jednej czekoladowej „piranii”. Obiecał wziąć ją na karnawał do Rio. Kseńka coś podejrzewa, więc musi przyjechać nieco wcześniej aby uprzedzić „tę drugą”. Temat „czekolad”, „piranii”, „senoritas” młodych i pięknych dwunożnych pokus o najróżniejszych karnacjach i kolorach skóry, od alabastrowej aż po czarną jak heban, wróciła zupełnie niespodziewanie już po przesiadce na autobus Linii „Plumes”.

Z Campo Grandy miałem za towarzysza polskiego księdza ze Zgromadzenia Zakonu Misjonarzy św. Wincentego ń Paulo. Jest jednym z blisko tysiąca duchownych z Polski, oddelegowanych czasowo do pracy w Brazylii przez Stolicę Apostolską. W tym przeszło 140-milionowym, katolickim ongiś kraju, na niedzielne msze św. przychodzi jedynie garstka starych

kobiet. W parafiach nie można zebrać grupki dzieci na naukę religii, a ogromną większość małżeńskich par żyje „na kocią łapę”. Przyczyn takiego stanu rzeczy i jest wiele. Jedną z ważniejszych, dla których na wschód od Andów i na południe od Amazonki, seminaria są puste i brak jest powołań do stanu duchownego są... „czekolady” i „piranie”. Bardzo niebezpieczne! Bardzo!

Ksiądz wołał dalszej dyskusji na ten temat nie kontynuować.

Na horyzoncie ostro wyrastały trapezowate kształty Sierra de Maracaju. Bliźniaczo podobne do wzgórz Sierry da Boduoquena, przez którą przejeżdżaliśmy parę godzin wcześniej. Dobrze po zachodzie słońca stajemy przed chuascarrija. Obrótowa barierka z licznikiem zagradza wejście na wielką, elegancką salę restauracyjną. Długi stół zastawiony paroma dziesiątkami sałat, sałatek, surówek, makaronów, ryżu, sosów, przypraw. Cena dla wszystkich, niezależnie od apetytu jednakowa: 4000 cruzeiro, około 5 dolarów. Cholera, że też dałem się nabrać na jarską kuchnię! Ale odwrotu nie ma. Zapłacić muszę. Krzyżak barierki obraca się tylko w jedną stronę. Ksiądz, bardziej otrząskany z brazylijskim interiozem, widząc moją minę uśmiecha się pod nosem i wskazuje buchające jasnym płomieniem, okazałych rozmiarów palenisko, umieszczone dyskretnie z boku. Nad ogniem, na długich, przeszło metrowych rożnach, tkwi mięsiwo. Dużo tego, bardzo dużo. Po zajęciu miejsca przy stoliku błyskawicznie wyrasta uzbrojony w rożen kelner. I zaczęło się. Wołowina, wieprzowina, baranina, drób, najróżniejsze kiełbasy, kiełbaski. I znów to samo od początku. Gorące, prosto z ognia, przyrumienione. Jeśli już prawie zżarłeś pierwszą porcję, ten w białym kitlu zauważa to natychmiast i zaczynasz od początku.

Na mięso nie mogłem patrzeć do końca tygodnia.

Za Dourados szybkość jazdy zmalała znacznie. Do granicy stanu Parana nie położono jeszcze asfaltu. Parana to już zupełnie inny kraj. Pola uprawne, łąki, pastwiska, zalesione wzgórza. Czyste, schludne, dziwnie swojskie miasteczka. Nazwiska właścicieli sklepów, garaży samochodowych, restauracji mają brzmienie niemieckie i włoskie. Wielkie tablice reklamują „Hotel Lipski”. A na odwrócenie towarzyszących przez następne kilkadziesiąt kilometrów znaków drogowych, ręką aktywistów którejs z partii politycznych wypisano apele o głosowaniu na niejakiego Mazurka, nr listy wyborczej 123.

W XIX wieku gnane nędzą, głodem i uciskiem zaborców tysięczne rzesze emigrantów z Galicji, ze Śląska, z Kongresówki w Paranie szukały drugiej ojczyzny. Dziś język polski słyhać tu niezmiernie rzadko. Coraz więcej stron w jedynym, wydawanym nieprzerwanie od 1920 r. w Kurytybie przez ojców Jose Orkowskiego i Jozę Zajacę, piśmie (O Povo) "Lud " drukowanych jest po portugalsku. Nie ma już prawie polskich szkół, bibliotek. Dogorywa parę kombatanckich stowarzyszeń. Wynarodowiliśmy się, wsiąknęliśmy, utonęliśmy. Wnukowie Pana Balcera dawno zapomnieli o kraju przodków. Przestali istnieć jako Polacy. Zginęli. Nie w amazońskiej selwie, czy kanadyjskich puszczech, nie w syberyjskiej tajdze. nie w pustyniach Kazachstanu, czy stepach minusińskich, a w bogatej, urodzajnej, łaskawej dla przybyszy z innego kontynentu Paranie. Wzbogacili ją swoją pracą, wysiłkiem, krwawym potem przelanym przy karczunku drzew i oraniu pierwszych skib. Tylko nieliczni zdołali jako tako wykształcić dzieci. Wykształcić oczywiście na Brazylijczyków. Wnukowie języka polskiego nie znają nawet ze słyszenia.

Za oknem ogromna masa wody. Nie widać prawie drugiego brzegu. Gigantyczny, utworzony na przestrzeni blisko 1400 km² zalew na granicznej z Paragwajem rzece tej samej nazwy. Uroczysta inauguracja największej na świecie zapory wodnej Itaipu, odbyła się przy udziale prezydentów obu sąsiednich państw wspólnie finansujących, 16 miliardową (w \$ USA) inwestycję. Po zakończeniu budowy i uruchomieniu wszystkich 18 turbozespołów, super hydroelektrownia daje 12.600.000 KW energii elektrycznej. Pozwoli to na rezygnację z importu co najmniej 27 milionów ton ropy rocznie.

Pierwotni mieszkańcy tej ziemi za postęp, nowoczesność i rozwój, zapłacili cenę bardzo wysoką. Pozostała po nich tylko nazwa i legenda.

Stary kacyk indiańskiego plemienia, słysząc szum wody rozbijającej się o małą skalistą wysepkę, znajdującą się w miejscu, gdzie stanęła 60 piętrowa zaporę, nazwał ją „Śpiewające kamienie” — Itaipu. Tego, że wysepka zniknie pod wodami jeziora, nie był w stanie nawet sobie wyobrazić.

Zwiedzanie zapory jest bezpłatne. Bezpłatne są również, luksusowo na kredowym papierze wydane, foldery w wersji angielskiej, japońskiej i hiszpańskiej. Przed rozpoczęciem godzinnego tour, obowiązkowo trzeba obejrzeć w sali filmowej. zestaw kolorowych dioram z okresu budowy, Propaganda sukcesu. Najciekawsze fragmenty filmu przedstawiały operacje mymba kuera, W języku tupi-quarani znaczyło „chwytaj zwierzaka”. Chcąc uratować

przynajmniej część fauny z zalewanej przez spiętrzone wody dżungli, utworzono specjalną brygadę łapaczy wszystkiego co się ruszało, wyposażoną w parę dziesiątków łodzi motorowych, samochodów terenowych i helikopter. Przez dwa tygodnie wyłowiono i wypuszczono na ląd stały przeszło 5 tysięcy lampartów, wilków, tapirów, jaguarów, małp, lisów i rakunów. Dwa tysiące ptaków, niektórych bardzo rzadkich oraz trzy tysiące żmij i węzów jadowitych. Tym ostatnim wolności nie zwrócono. Przewieziono je do sławnego Instytutu Batantao w Sao Paulo — produkującego szczepionki i lekarstwa.

Pod powierzchnią zalewu zniknęły „Sete Queda” — cud natury wyrzeźbiony w bazaltowym podłożu przed milionami lat. Kilkadziesiąt piętrzących się jeden nad drugim wodospadów. Były zupełnie unikalne, wspaniałe, oszałamiające hojnością, grozą i majestatem. Dziś, po ich zalaniu, turyści kierują się pół setki kilometrów na południe: do Cataratas do Iquasu. Tam, gdzie zbiegają się granice Argentyny, Brazylii i Paragwaju szeroko na parę kilometrów rozlewa się rzeka „Wielkiej Wody” — Iquasu.

W 1542 r. Portugalczyk Alvaro Nunes Cabeza de Vaca, ujrzał jako pierwszy biały człowiek piekielną czeluść, w którą wpadała i ginęła wielka rzeka. Kilkadziesiąt lat wcześniej, niż inni biali po raz pierwszy ujrzeli Niagarę. Wodospady na Iquasu są od niej znacznie większe, potężniejsze, dziksze i piękniejsze. W porze deszczowej ilość ich dochodzi do 260. Największy — Garganta do Diabo (Diabelska Gardziel) ma trzydzieści parę pięter, Inne o romantycznych nazwach „Florianoc”, „Adam i Ewa”, „Dwóch Hermanów”. „Trzech Muszkieterów” są mniejsze. Szerokim, rozrzuconym, utkanym ze skał, wysp, szczątków dżungli i głazów tłumiącego ludzką mowę łoskotu, grzmotu piany i tęczącej mgły spadają w dół nawałnice. Niepohamowanym, nieposkromionym pędem. Od tysiącleci, niezmiennie, wytrwale, nienasyconie chłonie je czeluść Iquasu — rzeki Wielkiej Wody.

„Cataratas do Iquacu”, ogłoszono Międzynarodowym Parkiem Narodowym chronionym przez prawo. Zadbano, aby go zagospodarować i udostępnić dla szerokich rzesz turystów z kontami czekowymi w bankach Tokio, Nowego Jorku i Paryża. Wzniesiono gmazyska hoteli z lądowiskami dla helikopterów, kładki nad huczącymi wilgotnym pyłem czeluściami, zatrudniono armie umundurowanych dozorców, strażników, hostessy i... windziarzy. Kto się bardzo zmęczył chodzeniem po stalowych kładkach, widokowych alejkach — może wsiąść w windę, a tą wyniesie go na przyhotelowy parking. Tam może upajać się dzikością Iquasu najbardziej komfortowo i bezpiecznie.

Miłośników dzikiej przyrody jest przecież na kuli ziemskiej coraz więcej.

> *****

Tępy łomot żelastwa towarzyszył każdemu przechyłowi wagonów pociągu Santa Cruz — Puerto Suarez. Upał, odór nie mytych ciał, tłok, brud, pot i wzywy z dawno nie czyszczonej ubicacji zajętej przez wynędzniałą Indiankę z kilkorgiem dziecięcego drobiazgu. Droga żelazna przebiegała się przez zielone morze. Wykarczowany po obu stronach torów pas ziemi dżungla obejmowała ponownie w posiadanie. Bujne i wysokie trawy, ostre, pazerne, pełzające agresywnością krzewy. Tętniące burzliwym, tropikalnym życiem bagniste rozlewiska dochodziły miejscami do samego nasypu, podmywały go wyplukując kamienny gruz. Szyny wyginały się, chwiały pod naciskiem pędzących kół, wyrwały z przegniłych podkładów przytrzymujące je haki. Krótkie postoje na rzadkich, bezludnych, zapuszczonych stacyjkach. Na nieco większych jazgotliwy tłum sprzedawców tabunami atakował korytarze wagonów. Cuchnęła odorem fermentującej kukurydzianej melasy czicza.. Głodni mogli nabyć talerz podejrzanego płynu, nieco przypominającego rosół, pikantne i ziołowo-korzenne pierożki z mięsem, jajka gotowane na twardo. Banany i papierosy sprzedawano na sztuki. Zachód słońca, który nastąpił niespodziewanie, niemal po kryjomu przyniósł ulgę. Rozgrzane pudła wagonów ochłodziły. Pod wieczór ci, dla których nie starczyło miejsc na ławkach, na półkach, na pomostach, zaczęli układać się do snu na zaplutej, nigdy nie mytej, zarzuconej różnorakim śmieciem i skórkami owoców podłozde.

Wpasowywali swoje dolne i górne kończyny w różne zakamarki, wnęki, pociągowe skrytki. Gdy wydało się, że wszyscy już znaleźli kąt na resztę nocy i otepieli od nieustannego łoskotu żelastwa pasażerowie, zaczęli zasypiać, nadszedł patrol. Pochód otwierał żołnierz w hełmie, z grubą drewnianą pałką i coltem wystającym z nisko zawieszanej kabury. Spięty, sprężysty i pewny siebie. Dokładnie i długo świecił latarką każdemu w oczy. Kontrola biletów następowała później. Sprawowało ją trzech, specjalnie dobranych wielkoludów: barczystych i brzuchatych. W świeżo odprasowanych mundurach wyraźnie odróżniali się od tłumu oliwkowych, szarawych, brązowych i brunatnych postaci zmaltretowanych podróżą, upałem, nędzą i brudem.

Komando egzekwowało należności bezwzględnie. Usuwano z podłóg pasażerów drugiej klasy, uważnie lustrowano torby, tłumoki i plecaki obdartusów z europejskimi i północnoamerykańskimi paszportami. Nieznacznymi skinieniami dłoni kontrolerzy wskazywali uzbrojonemu w automat żołnierzowi zamykającemu pochod bagaże „do przeszukania”. Szybko, sprawnie i uprzejmie potraktowano tylko wieloosobową rodzinę Menonitów. Jednakowo, w jeansowego kroju „ogrodniczki” odzianych mężczyzn w wielkich słomkowych sombreros i milczące, ginące w ciemnych szatach, kobiety.

Pochłonięty obserwowaniem niecodziennego spektaklu nawet nie zauważyłem, że Betty, z którą dzieliłem dwuosobową ławkę zamilkła, przestała palić i zapadła w głęboki sen wtulając się w ką. Kilkanaście godzin wcześniej, w tłumie kłębiącym się przed zamkniętym okienkiem kasy biletowej na stacji w Santa Cruz, wyłowilem sylwetkę bardzo szczupłej, jasnowłosej dziewczyny, okupującej strategiczne miejsce tuż na początku kolejki. Tkwiła w niej całą noc. Sprzedawano tylko określoną, znikomą ilość biletów i to od razu z miejscówkami. Jeśli miało się dużo szczęścia i było jednym z pierwszych, to można było kupić jeden czy dwa, ale na pociąg, który odchodził dopiero następnego dnia. Coś w rodzaju sterowanej przedsprzedaży. Nie mieliśmy szczęścia. „Gringo” w tej części świata nigdy nie mają szczęścia. Gdy z półgodzinnym opóźnieniem odsunięto kawałek dykty, zasłaniającej zakratowany otwór dworcowej kasy, było już wiadomo, że czekaliśmy na próżno. Tłum zamarł, zadrgał i popędził do sąsiedniego okienka, nad którym kulfony informowały, że sprzedawane są tam bilety na miejsca nienumerowane. Dziewczyna była załamana. Kończyła się ważność jej wizy. Ktoś na nią czekał w Londynie. Posiadała paszport brytyjski i jak twierdziła, przez ostatnie pół roku doskonaliła język hiszpański. W drodze powrotnej do Europy postanowiła nieco pozwiedzać. No i zwiedzaliśmy razem.

Po paru wspólnie spędzonych nocach miałem już dość chudej bezbiustej i palącej jak smok pannicy. Po paskarskich, dwukrotnie wyższych niż normalnie cenach, kupiłem bilety od „konika”. Gdy wojskowo-kontrolna ekipa dotarła do naszej ławki. Przedmiotem szczególnego zainteresowania stał się mój paszport. Oglądano go z wyraźnym niedowierzaniem. O Betty i jej bagażach zapomniano. Granice Brazylii osiągnęliśmy rano bez specjalnych sensacji. Ziewający, ubrani po cywilnemu funkcjonariusze, odnotowali tylko wszystkich nie-Boliwijczyków na osobnej liście. Do najbliższego miasta Corumba skąd odchodziły autobusy do Campo Grandę, Rio i San Paulo było dwadzieścia parę kilometrów. Taksówkarze żądali po 10 000 cruzeiro. Drogo. Przedziwnie znajoma, ni to rosyjska, ni słoweńska melodyka języka portugalskiego, ludzi swojskością. Targi odbywają się na migi. Dołącza do nich moja Betty oraz paru hippisowato wyglądających, byłych młodzieńców w bardzo nieokreślonym wieku.

Francuski Żyd z Kalifornii i mieszkający w Belize Szwajcar. Dzielimy koszty taksówki. Mimo, że były to godziny ranne słońce stało wysoko i prażyło wcale nieźle. Po blisko dobie w podróży każdy marzył, aby jak najszybciej splukać z siebie skorupę brudu, soli i potu. W ciepłym powiewie wiatru szybko schną przyklepione do karków koszule. Asfaltowa, ocieniona palmami, doskonale utrzymana szosa. Duży ruch pojazdów. Taksówkarz ciągle kogoś wyprzedza, trąbiąc zawzięcie. Nagle ostro zwalnia. Przed nami parę stojących samochodów i grupka ludzi. Wypadek? Gdy zatrzymujemy się podchodzi do naszej taksówki potężnie zbudowana mulatka w nie określonym wieku i młodzian w koszulce polo. Z nowoczesnym karabinkiem automatycznym w ręku. Jednoznaczny i nie pozostawiającym cienia wątpliwości gestem zaprasza do wyjścia na zewnątrz. Kierowca ma otworzyć bagażnik. Dwóch łachmanowatych drabów, którzy nie wiadomo skąd doszłusowali do uzbrojonego mężczyzny siłą rozrywają okucia zamkniętej na niedużą kłódkę torby. Bezceremonialnie wytrząsają jej zawartość na jezdnię. Coś chrupnęło! Potłukł się gliniany, bardzo pięknej roboty Chrystus Frasośliwy, kupiony przez Szwajcara na bazarze w La Paź. Właściciel, usiłując ratować to, co zostało z rzeźby, rzucił się gwałtownie naprzód. Złowrogo szczekał zamek. Ten w polo zareagował w mgnieniu oka. Lufa karabinu wędruje pod brodę Szwajcara, zmuszając go do zajęcia postawy zdecydowanej wyprostowanej, aczkolwiek nieco drżącej. Na czubkach palców w tropikalnym słońcu nie stoi się najwygodniej. Dalszy ciąg akcji brygady antynarkotykowej, przebiegał bez zakłóceń. Wolałem osobiście opróżnić plecak i pootwierać wszystkie zapięcia. Uzyskałem tym pewną przychylność u „obsługującego” mnie funkcjonariusza. Tylko na krótko. Trafił na paczkę na poły zeschniętych liści koki. Chorując w Andach na soroche — chorobę wysokościową, leczyłem się naparem „matę de coca”. Pomagał znakomicie. Tłumaczę to typasowi. Chyba zrozumiał, bo choć wyraz obrzydzenia zagościł na jego obliczu, machnął ręką. Mieli już zresztą łup. Mulatka, w trakcie osobistej rewizji, wymacała na Betty jakiś woreczek. Sądząc po reakcji Angielki, to było to, czego tamci szukali.

Nie odwróciła głowy gdy pakowano ją do policyjnego auta. Kolejna kontrola czekała nas, niespełna godzinę później, w autobusie do Campo Grandę. Umundurowani funkcjonariusze z bagażami obchodzili się nieco delikatniej.

> *****

Daleka jest droga do Rio. Długa, nużąca. Sławny jest karnawał w Rio! Bardzo sławny! Sławny na cały świat. Ekipy telewizyjnych reporterów, wysłannicy największych agencji prasowych, watahy zblazowanych snobów. Ci znudzeni życiem i pieniędzmi, i ci poszukujący pieniędzy. Łapserdaki, narkomani, złodzieje, pederasty, transwestyci i zwyczajne prostytutki. Ciągną jak do Mekki. Co roku jest ich więcej. Jednorazowy bilet wstępu do łoży nowego Sambodromu kosztował sto dolarów. Tylko sto dolarów, o ile kupiło się go odpowiednio wcześniej. Podróżujący na własne rękę, przybysze z innych kontynentów, jeśli chcieli z bliska przez całą długą, marcową noc oglądać przemarsz najlepszych zwycięskich sambowych szkół, płacili więcej, znacznie więcej. Bez zastanowienia. Na karnawale w Rio de Janeiro jest się przecież tylko raz w życiu. Miasto co roku inwestuje w przygotowania dużo.

W błyskawicznym tempie spychacze zniwelowały teren w podejrzanej sławy portowej dzielnicy. Wyburzono setki domów, przepędzono donikąd nielegalnych mieszkańców ruder, wytruto szczury. Sam Niemeyer zaprojektował zespół higienicznych betonowych łoży i trybun wzdłuż szerokiej rozległej alei startu w szaleństwo, w orgię, w misterium.

Kosztujący kilkanaście milionów dolarów sambodrom budowano cztery miesiące. Koszty zwróciły się błyskawicznie. Parada najlepszych szkół samby trwała trzy noce. Trzy kolejne, wariackie, nie przespane noce. W kraju szalejącej 250-procentowej inflacji rocznie, w kraju zadłużonym w zagranicznych bankach na dużo ponad sto miliardów dolarów, w kraju gdzie, w wypalanej bezlitosnym słońcem prowincji Nord-Este od połowy dekady nie spadła kropla deszczu, a ludność dawno już zjadła wszystkie psy i koty, zbudowano gigantyczny największy na świecie, uliczny, blisko kilometrowej długości parkiet, zakończony wielkim placem apoteozy, ekstazy i amoku samby.

Architekt rozpiął nad nim wysmukły, doskonały w proporcjach, podwójny łuk ze strunobetonu. Łuk oglądał cały kontynent. Na wszystkich kanałach telewizyjnych Latyno Ameryki, Zapowiadał transmisje karnawału. Karnawału z Rio de Janeiro. Powtarzano je wielokrotnie. Dniem i nocą, tydzień za tygodniem. Zarzutu merowi miasta nad Rzeką Styczniową z tego, że wydatkowano ileś tam milionów nie zrobił nikt. W zbliżającej się kampanii prezydenckiej o najwyższy w państwie urząd uzyskał mocną pozycję. Może pewnie liczyć na głosy obywateli metropolii Szczególnie tych najuboższych: z faweli na wzgórzach za Copacabaną, Urcą, Ipanemą, Botafogą i Flamengo — najślawniejszych i najpiękniejszych plaż świata. Tylko ci z śródmiejskiej, eleganckiej i zamożnej Carioki, przez którą przechodzi pryncypalna Avenida Rio Branco, uważają się za pokrzywdzonych. Nie mogą już, jak dotychczas, oglądać najślawniejszych gwiazd tanecznej parady z okien. Żal minął szybko. Carioca też tańczy sambę.

Pierwotnych mieszkańców atlantyckiego wybrzeża, gdzie na stromych, granitowych, omywanych przez ocean górach rosło cudowne drzewo brasil, wytępiono dawno. Od dawna też nie barwi się uzyskiwaną z kory drzewa purpurą szat możliwych. Pod piaskiem plaży Flamengo zniknęły fundamenty pierwszej osady portugalskich łupieżców. Ci z dżungli, domy białych ludzi z lękiem i nienawiścią nazywali karioka. Carioca — dom białego człowieka. Dzisiaj — Carioka to mieszkanie najpiękniejszego miasta świata. Wyjątkową urodą Rio zachwycało się wielu, zanim jeszcze nastąpiła era folderów, hiltonów i sikhseingów, i zanim karnawał rozślawił imię miasta nad Rzeką Styczniową. Warto jego dziejom poświęcić nieco uwagi. Kościół katolicki orgiastycznym zabawom starożytnych Rzymian, będących kontynuacją dionizyjskich bachanalii uroczystości ku czci egipskiego Isis i Apisa nadał miano karnawału: Carn-aval — mięsożerstwa lub carne vale — żegnaj mięso. Udzielił swego błogosławieństwa, aprobaty, sankcji i łacińskiej nomenklatury. Przymknął też oczy na to, co się przez ostatnie trzy dni i noce przed popielcem działo. Nawet w zimnym, położonym na rubieżach śródziemnomorskiej cywilizacji kraju Sarmatów, staropolscy kaznodzieje karnawałowe swawole nazywali nie zapustami, lecz rozpustami. Ambasador Solimana II, powróciwszy znad Wisły do Stambułu rozpowiedział, że „w pewnej porze roku chrześcijanie dostają wariacji i że dopiero jakiś proch sypany im potem w kościołach na głowy leczy takową”.

Początków brazylijskiego karnawału należy szukać w festiwalach i zabawach, jakie poprzedzały w Portugalii okres Wielkiego Postu. Uczestniczyli w nich wszyscy, od władców po niewolników, od najzamożniejszych po najuboższych, od najmłodszych do najstarszych.

Limoses-de-cheiro czyli wypełnione wodą woskowe kule, śmigały w powietrzu nie omijając nikogo, Towarzyszyły im radosne wrzaski i śmiechy gawiedzi, śpiewy, tańce, muzyka i zgrzytanie zębów tych, których dosięgały. Z biegiem lat swawole zaczęły przekraczać poziom tolerancji władzy świeckiej. Zakazano odbywania ich na ulicach. Dopiero w 1855 r. klub Rio „Congresso de sumidades carna-vaescas” organizuje hałaśliwą paradę prywatnych pojazdów, wspaniałych rydwanów, szokowych kreacji i toalet, konfetti i kwiatów. Karnawałową paradę w Rio. Paradę ludzi bogatych. Paradę członków ekskluzywnych Tenentes do Diabo”, „Fenianos”, „Democraticos”. Dla hołoty pozostały tylko chodniki i jezdnie bocznych uliczek. Tak narodziły się „Cordoes” i „Ze Pereira”. Te pierwsze — to folklorystyczne interpretacje wydarzeń, jakie miały miejsce w minionym roku. Drugie przypominały religijne procesje. Rubaszne, frywolne pąsy śpiewających grup rewelersów w dalekim od samby rytmie religijnego tańca. Rytmie, który nadawał bęben. Bęben to po portugalsku Pereira. W wieku XIX jedyną muzyką, uznawaną za muzykę karnawału na ulicach Rio była „Ze Pereira”, której melodia przypominała francuską piosenkę „Les pompiers de nanterre”.

Kroniki zanotowały, że choć w 1877 r. na eleganckich balach tańczono polki, mazurki, walce, a nawet kankana, to na ulicach prawo obywatelstwa zdobywało już jongo; przodek samby. Na początku wieku zaimportowano ze Stanów Zjednoczonych cake-walk a niejaki Chiquinha Gonzaga komponuje niezwykle później popularną melodię „Abre Alas” (Rozpostrzyj swoje skrzydła). W czas karnawału śpiewali ją wszyscy, całe Rio, cała Brazylia, cały świat. Dopiero w 1917 r., Mauro de Almeida and Donga tworzy muzykę utworu znanego jako „Pelo Telefone” — pierwszej samby posiadającej zapis nutowy melodii. I tak się zaczęło! Lata 30-te to rozprzestrzenienie radia i muzyki z płyt gramofonowych. Melodie karnawału z Rio nuci cała Ameryka, Londyn, Paryż. Tradycja karnawału, takiego jaki oglądamy, ma dopiero nieco więcej niż pół wieku. Zdominowana jest przez sambę i passista-pastorę, wirtuozerski popis tanecznej pary tancerzy. W ciepłą, krótką noc karnawału, w światłach latarni, reflektorów, lampionów i rakiet, mienia się przebogata paleta barw papuziej tęczy kolory kostiumów, przybrań głowy, szarf, kwiatów, girland i konfetti. Ludzi ogarnia szal, szal spoconych twarzy, szal nagich kobiecych piersi, szal zmysłów, szal zapomnienia, szal samby. Carioca tańczy sambę.

Witold Stanisław Michałowski

Pisarz, podróżnik, niezależny publicysta, inżynier pracujący przez wiele lat w Kanadzie przy budowie rurociągów, b. doradca Sejmowej Komisji Gospodarki, b. Pełnomocnik Ministra Ochrony Środowiska ZNiL ds. Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery Karpat Wschodnich; p.o. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Budowniczych Rurociągów; członek Polskiego Komitetu FSNT NOT ds. Gospodarki Energetycznej; Redaktor Naczelny Kwartalnika "Rurociągi". Globtrotter wyróżniony (wraz z P. Malczewskim) w "Kolosach 2000" za dotarcie do kraju Urianchajskiego w środkowej Azji i powtórzenie trasy wyprawy Ossendowskiego. Warto też odnotować, że W.S.M. w roku 1959 na Politechnice Warszawskiej założył Koło Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. [Więcej informacji o autorze](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 07-11-2008 Ostatnia zmiana: 09-11-2008)

[Oryginał.](http://www.racionalista.pl/kk.php/s,6179) (http://www.racionalista.pl/kk.php/s,6179)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych

do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl